

PROSCENIUM

AKTORZY O TEATRALNYCH
PRZESĄDACH

BOJARSKA O CARNAVALE
SZTUKMISTRZÓW

POKAZY WARSZTATOWE
W DDK „WĘGLIN”

JEMIOŁ O AMADEUSZU

NOWAK O TAJEMNICACH
MAGAZYNÓW TEATRALNYCH

PODSUMOWANIE? LUDZIE TEATRU

BARTŁOMIEJ MIERNIK

LUIZA NOWAK

Wiem, że będzie Wam trudno nazwać to podsumowaniem sezonu. Wybaczcie. Pół nocy siedziałem i próbowałem wymyślić choćby trzy miejsca, trzy najlepsze przedstawienia minionego sezonu i umieścić je na stopniach podium. Klops, porażka. Spośród kilkunastu premier w lubelskich teatrach podobały mi się zaledwie dwie. *Pani Bovary* w Osterwie i *Wesele* w Anderseniu. Oba gdzieś na antypodach zwykłej, codziennej działalności obu instytucji, wznoszące się poziomem ponad średnią, którą możemy tam na co dzień oglądać, a staram się śledzić większość premier. Cechą obu produkcji jest współczesność, wieloznaczna scenografia, aktorstwo na naprawdę wysokim poziomie, a nadto wyrażenie chęci do rozmowy o współczesności. Siedząc na widowni, odnosi się wrażenie, jak gdyby aktorzy uwierzyli, że te propozycje staną się flagowymi okrętami, wypełnią widownię i pojadą na festiwal. I o ile *Wesele* jeździ i zdobywa laury, o tyle *Pani Bovary*... jak dotąd chyba nigdzie nie pojechała. Kierownictwo w Osterwie się zmieniło, więc może to czas, by *Panią Bovary* gdzieś szerzej pokazać, a najpierw podzwonić, poumawiać i pojechać.

Przepraszam, że tak piszę może trochę protekcyjnie, może tonem jak do dziecka, ale wydaje mi się, że bolączką lubelskiej sceny przy Narutowicza jest to, że nie pokazuje swoich premier na festiwalach, nie zbiera nagród, chociaż ma w repertuarze spektakle, które z powodzeniem mogłyby być grane w kraju. Ta niewątpliwie główna choroba Teatru Osterwy, mam nadzieję, zostanie wyleczona w nadchodzącym sezonie. ■

Bartłomiej Miernik – absolwent wiedzy o teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie.

MAGAZYNIER (cz. I)

– *W magazynie kryje się przede wszystkim historia* – mówi mi pan Marek Bijak, jeden z dwóch pracowników magazynu w Teatrze im. Juliusza Osterwy. Spotykamy się w bocznym skrzydle budynku przy ulicy Narutowicza 17. Znajdują się tu dwa główne składy, pozostałe mieszczą się poza teatrem. Pierwszy to tzw. materiałówka. Przechowywane są w nim rzeczy przeznaczone do produkcji spektakli, takie jak tkaniny, materiały, buty, deski i stal. Drugim jest magazyn środków inscenizacji, w którym są między innymi kostiumy, peruki, rekwizyty, dekoracje i meble. Ten jest podzielony na osiem podmagazynów.

– *Wynika to z małej ilości miejsca. Każde wolne pomieszczenie w teatrze jest zagospodarowane* – wyjaśnia pan Marek. Jak wygląda zatem zwykły dzień pracy w tak niezwykłym miejscu?

– *Całkiem inne zadanie mamy przed premierą, a inne gdy jest zastój w realizacjach. Codziennie wykonujemy czynności rutynowe: włączamy aparaturę osuszającą, wietrzymy pomieszczenia i wykonujemy zabiegi zabezpieczające. Naszym głównym zadaniem jest to, aby rzeczy przechowywane w magazynie doczekały w jak najlepszym stanie na swoją kolej. Nie możemy dopuścić do tego, by do kostiumów dostała się wilgoć i mole.*

Niestety, nie wszystkie przedmioty przechowywane w magazynie doczekają się powrotu na scenę.

– *Część rzeczy trzymamy po to, aby na ich podstawie stworzyć coś nowego. Stare buty, kapelusze i fraki są za małe na ludzi żyjących w XXI wieku.*

Jak mogę się przekonać już na początku spotkania, w magazynie kryją się historyczne skarby, jak chociażby przedwojenny oryginalny wieszak wykonany przez zakład Fiszmana na Krakowskim Przedmieściu.

– *Mamy też rzeczy starsze: kapelusze i buty. Był to zakup wtórny, zostały*

odkupione od osób prywatnych. Na kapeluszach znajduje się napisany cyrylicą adres kapelusznika, który miał zakład na ulicy Świętoduskiej.

Większość przedmiotów znajdujących się w magazynie ma tylko wartość historyczną. Nie przechowuje się tu cennych rzeczy o dużej wartości materialnej. Najczęściej są to przedmioty, które mogą okazać się przydatne w przyszłości.

– *Generalnie w magazynach mamy rzeczy robione przez rzemieślników. Naszymi najstarszymi rekwizytami są tace.*

Bym na własne oczy przekonała się, jak wyglądają pomieszczenia, w których przechowywane są kostiumy, wyruszasz z panem Markiem na wędrowną podróż po magazynie. Przechodzimy do foyer teatru, aby rozpocząć wycieczkę od wystawy kostiumów przygotowanej dla widzów.

– *Cała wystawa została stworzona na bazie naszych magazynów. Mamy tutaj między innymi elementy kostiumów ze zbiorów przedwojennych. Jest tu na przykład czepiec, który został użyty w „Weselu” w 1944 roku. Wtedy, jak pani wie, nie było jeszcze Teatru Osterwy. Był tutaj Teatr Wojska Polskiego.* ■

Luiza Nowak – absolwentka prawa UMCS, studentka stosunków międzynarodowych tamże.



fol. archiwum prywatne Marka Bijaka

rys. Michał Nakoniczewski



Zespół redakcyjny: Bartłomiej Miernik (redaktor naczelny), Paulina Sulowska (sekretarz redakcji), Teresa Kmieć, Maciej Bielań, Luiza Nowak, Kornelia Kurach, Justyna Woźniak, Katarzyna Fronc, Paulina Niedziałek, Ewa Jemioł (korekta)

Współpraca: Martyna Zięba, Przemysław Gąsiorowicz, Łukasz Witt-Michałowski, Marcin Wasyluk, Michał Nakoniczewski

Skład i DTP: Katarzyna Długosz
Wydawca: Warsztaty Kultury w Lublinie
Kontakt: ul. Grodzka 5 A, 20-112 Lublin
gazetaproszeniem@gmail.com

f prosencium.lublin

Druk: Akapit

Nakład: 800

Na okładce zamieszczono zdjęcie zespołu Barada Street, wykonane podczas Carnawalu Sztukmistrzów w Lublinie, fot. materiały promocyjne marketingu Urzędu Miasta Lublin



WARSZTATY KULTURY

ŚWIĘTO RADOŚCI!

MARTA BOJARSKA



fol. materiały promocyjne marketingu Urzędu Miasta Lublin



fol. materiały promocyjne marketingu Urzędu Miasta Lublin

Zabawa i magia zagościły w Lublinie po raz kolejny za sprawą Carnavali Sztukmistrzów. Przez cztery dni festiwalu na ulicach miasta zaroilo się od kolorowo ubranych artystów i cyrkowców.

Luigi Ciotta to sympatyczny bagażowy, który podchodził do swojej pracy z przymrużeniem oka. Obarczony kilkunastoma walizkami chętnie dzielił się nimi z publicznością oraz podpowiadał, jak należy je ustawić. Bagaże posłużyły mu również jako rekwizyty do żonglowania oraz przeszkody akrobatyczne. Wspólnie z widzami Luigi ułożył wieżę z walizek, żeby na finał unieść ją i ustawić sobie na czole. Cały występ urzekał klimatem lat 30. XX wieku, dużą dawką humoru i świetnym kontaktem z publicznością.

Umiejętności komediowych i zjednywania sobie widzów nie można odmówić również Gomie i Ey Pacha! Obaj artyści pomysł na swoje występy czerpali od widzów i z ich energii. Goma, obserwując, co dzieje się na Krakowskim Przedmieściu, improwizował zabawne scenki z przypadkowymi osobami (niezależnie od tego, czy byli to widzowie, czy jedynie przechodnie). Szybkie reagowanie na wydarzenia wokół i przemienianie ich w numery komediowe to największa siła jego występu. Z kolei Ey Pacha! to niepozorny klaun, który na oczach widzów zmienił się w beatboxera. Artysta zaprezentował mistrzowski popis tworzenia najprzeróżniejszych dźwięków składających się na minikoncert. Ale to nie wszystko. W finale występu wybrzmiała piosenka *What a wonderful world* zagrana przez klauna na pile.

Muzykę wykonywaną przez buskerów na żywo można było usłyszeć w tym roku niejednokrotnie. Uliczny

koncert pełen spontaniczności i radości wykonali dwaj muzycy-akrobaci, czyli Barada Street. Utwór *Nantes* z repertuaru zespołu Beirut artyści nie tylko zagrali na ukulele i zaśpiewali, ale również zaangażowali, wykonując szereg skomplikowanych figur akrobatycznych – różnego rodzaju podnoszenia na rękach i nogach. W trakcie tej piosenki wykazali się nie tylko dużymi zdolnościami muzycznymi i ruchowymi, ale przede wszystkim umiejętnością oczarowania widzów i wciągnięcia ich w swój świat. Nie minęło pół piosenki, a publiczność sama włączyła się w dośpiewywanie niektórych partii.

Jednym z najbardziej efektownych był występ duetu eVenti Verticali. Ich spektakl *Wanted* odbył się na ścianie kamienicy. Dwóch akrobatów-kaskaderów opowiedziało nam historię złodziejasków ściganych przez prawo. Scenografię, a właściwie wideografię, stanowiły zabawne filmiki inspirowane gramami komputerowymi i komiksami.

Stają częścią Carnavali są również spektakle teatralne. W tegorocznym programie na szczególną uwagę zasługiwały dwa: *Al Cubo* grupy BettiCombo oraz *An Adventure* duetu La Boca Abierta. *Al Cubo* to historia o radości tworzenia i wspólnym osiągnięciu kolejnych celów, opowiedziana za pomocą kilkunastu białych plastikowych wiader. Kobieta i dwaj mężczyźni żonglują wiaderkami, animują je, tańczą z nimi, używają ich jako instrumentów i tworzą coraz to nowe konstrukcje. Wyznaczają sobie zadanie: ustawić wysoką wieżę z wszystkich wiader. Po kilku nieudanych próbach w końcu się udaje. Tylko skoro cel został osiągnięty, to co zrobić z resztą występu? Artyści mówią

wprost, że uczucie spełnienia szybko zastępuje pustka. Na szczęście wieżę w każdym momencie można zburzyć i zacząć wspólnie tworzyć coś nowego.

Anne Kampf i Lior Shoov to wszechstronne artystki, które muzyką, tańcem, akrobacjami i słowem opowiadały o relacjach międzyludzkich. *An Adventure* to spektakl mówiący o zachwycie przyrodą, drugim człowiekiem, o przyjaźni i miłości, ale również o jednym niewłaściwym ruchu, o małym impulsie, który może spowodować oddalenie się drugiej osoby, o tęsknocie i pamięci niezgadającej się na rozłąkę. Artystki z niezwykłą prostotą, otwartością i ekspresją – zarówno ruchową, jak i głosową – bardzo szczerze przedstawiły relacje, które mają ogromny wpływ na człowieka.

Carnaval Sztukmistrzów swój sukces bez wątpienia zawdzięcza wszechstronnie uzdolnionym artystom. Ich wspólną cechą jest także pasja, zarażliwa wręcz pasja! Za popisami żonglerskimi, akrobatycznymi czy komediowymi kryje się prosty przekaz o tym, że w życiu ważne jest szczęście, miłość i radość z tego, co się robi. To może brzmieć banalnie, ale wszyscy na pewno tego potrzebujemy, a prawdziwa pasja artystów Nowego Cyrku sprawia, że po prostu im wierzymy. ■

Lublin – przestrzenie miasta
Carnaval Sztukmistrzów
28–31 lipca 2016 roku

Marta Bojarska – absolwentka filologii polskiej KUL.

TANIEC SZALONEGO KOGUTA

ANNA ŚWIETLIKA

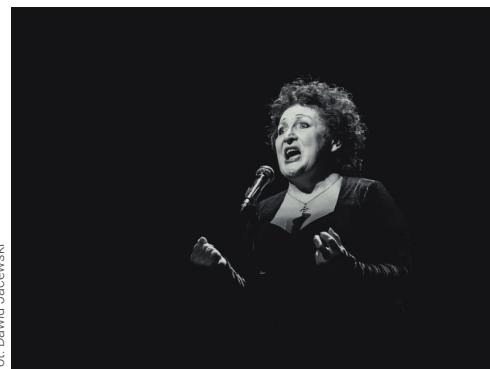


foto: Dawid Jacewski

Rok 2016. Mieszkam pod numerem trzynastym (nie dowierzam natomiast czternastce), kiedy spotkam czarnego kota, przechodzę dalej, choć coś w głowie szepnie niespokojnie. Czy jestem przesądny, ja – człowiek z przełomu wieków XX i XXI?

Ludzie oswoili to, co nieznanne, ujarzmili za pomocą zdobyczy techniki. Przynajmniej tak im się wydaje. Teatr pozostaje w ścisłej relacji z otaczającą go rzeczywistością, odpowiada na zmiany zachodzące na świecie. Zmienił się, bo zmienili się tworzący go aktorzy. Ci natomiast stają się coraz mniej podatni na przesady. Pozostało kilka tych, które wymieniłem na początku. Czasami zdarzają się próby przełamania niektórych sztandarowych przesądów. I tak w jednym ze spektakli reżyser zażyczył sobie trumnę na scenie. Efekt był taki, że trumna urwała się (była podwieszona nad sceną) i omal nie spadła na leżącą aktorkę, która zdążyła umknąć w ostatniej chwili. Może więc powtórzyć za Agnieszką Osiecką: „Życie jest formą istnienia białka, ale w kominie coś czasem załka”? ■

Bartosz Siwek – absolwent wrocławskiego Wydziału Lalkarskiego PWST, aktor Teatru im. Hansa Christiana Andersena w Lublinie.

Aktorzy są potwornie przesądni. W zasadzie nie znam aktora, który by nie był. Skąd taka popularność przesądów w naszym środowisku? Pewnie dlatego, że artyści są niezwykle wrażliwi i nie wierzą w swoje sukcesy. Jeśli na co dzień czegoś nie jesteśmy pewni, to wolimy odpuścić przez lewe ramię. Dzięki temu jesteśmy spokojni, że wszystko się uda. Podobnie jest z zabobonami scenicznymi.

Istnieje całe mnóstwo przesądów teatralnych. Jeśli w czasie próby egzemplarz scenariusza albo nut upadnie na ziemię, to koniecznie trzeba go przydeptać, żeby nie położyć roli. Poza tym w teatrze nie wolno gwizdać (chyba że wymaga tego sztuka), bo później publiczność nas wygwizda. Nie należy do osób szczególnie przesądnych, ale tych dwóch zwyczajów przestrzegam rygorystycznie. Poza tym na scenę nie wolno wchodzić lewą nogą, ale jest też zasada, że na deski nie wchodzi się nogą „zewnątrzną”, bo wtedy najpierw pokazuje się widzom pośladki. To samo dotyczy klękania. Czyli: jeśli mężczyzna klęka bokiem w prawą stronę do partnerki, to powinien klękać na prawe kolano, żeby nie być „pupą do widza”. To już nawet nie są zabobony, tylko niepisane prawo teatralne, które po części wynika z kultury. Kolejny przesąd, który stał się regułą, polega na tym, że jeśli w scenie trzeba użyć strzelby, to nie można celować w człowieka, bo nawet atrapa może wypalić.

Są też zabobony pozytywne dla aktorów. Jeśli na przykład w pośpiechu założymy jakąś część garderoby na lewą stronę, to bardzo dobrze, bo później spotka nas miła niespodzianka. A przed premierą wszyscy

musimy kopnąć się kolanem w pośladki. Nie wolno nikogo poklepać – musimy się kopnąć, żeby wykopać wszystko, co może się nie powieść.

Czasami przesady się sprawdzają. Jedno z teatralnych porzekadeł głosi, że każdy aktor raz w życiu zapomni o spektaklu, spóźni się na przedstawienie albo będzie miał dziurę w pamięci, czyli zapomni tekstu na scenie. I mnie zdarzyło się zapomnieć tekstu. Miałam kompletną pustkę w głowie już w pierwszej scenie – nie pamiętałam, w czym gram, jak się nazywam i co mam mówić. Poradziłam sobie w ten sposób, że zrobiłam jakieś wygibasy, wybiegłam za kulisy w stronę suflerki, ona mi podpowiedziała, a następnie tymi samymi dziwnymi ruchami wróciłam na deski. Później wszystko szło już gładko, a Henryk Sobiechart, z którym występowałam w tej scenie, powiedział mi: „Andzia, to było bardzo interesujące, może byś to zostawiła na stałe?”.

Niektórzy aktorzy odprawiają też swoje indywidualne rytuały przed wejściem na scenę. Typowym przykładem jest Jurek Rogalski, który przed spektaklem coś tam mruczy, podskakuje, śpiewa, zatyka uszy – wygląda to jak taniec szalonego koguta. Coś przedziwnego. Ja natomiast przed wejściem na scenę muszę się przeżegnać, zwłaszcza jak mam trudną i ważną scenę, bo głęboko wierzę, że wtedy Opatrzność nade mną czuwa. ■

Nagrał i spisał Maciej Bielak.

Anna Świetlicka – aktorka teatralna i filmowa, od 1974 roku w zespole Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie.

Maciej Bielak – absolwent historii i politologii UMCS.

TRAGEDIA SEMISERIA

EWA JEMIOŁ



for. Mateusz Wajda

Antonio Salieri – człowiek, który wstawił się nie swoją muzyką, jak tego pragnął, ale legendarną rywalizacją z Mozartem. Dziś jego nazwisko kojarzone jest raczej z tajemniczą śmiercią Wolfganga niż z prawie czterdziestoma operami i obszernym zbiorem kompozycji sakralnych. A wszystko to za sprawą plotki.

Proscenium przypomina kanał dla orkiestry, lecz zamiast muzyków znajduje się w nim fortepian częściowo przykryty płótnami oraz wysoki drewniany stół i kilka stojaków na nuty. Zza instrumentu wyłaniają się dwie postacie. Ubrane w proste, złote kostiumy przyozdobione naszyjnikami z drewnianych klawiszów, w wysokich białych perukach i z twarzami pomalowanymi na biało-złoto, połączone ze sobą strunami fortepianowymi. To Venticelli (Paweł Kos, Daniel Salman) – informatorzy nadwornego kompozytora cesarza Józefa II (Przemysław Gąsiorowicz). Jeden przez drugiego szeptem powtarzają krążące po Wiedniu plotki. Nagle płótna leżące na instrumencie poruszają się i słychać stłumiony krzyk: „Perdonami, Mozart! Perdonami. Il tuo assassino ti chiede perdono”. Venticelli wychodzą, a spod skłębionych materiałów wygrzebuje się jakaś postać okryta szarym sukniem. Kiedy zrzuci z ramion materiał, widzimy Antonia Salieriego (Janusz Łagodziński) – nieco zgarbionego starca w białej koszuli i kalesonach, który przedstawi widzom swoją ostatnią, autobiograficzną „operę”.

Spektakl jest właściwie monodramem, urozmaiconym scenami ilustrującymi opowieść Salieriego. Aktorzy nie tworzą jednak tylko ładnego tła dla historii głównego

bohatera, ale także uczestniczą w jej tworzeniu. Szczególnie wyróżnia się Daniel Dobosz, którego Mozart jest dynamiczny i przekonujący, umiejętnie prowadzony od egzaltacji do rozpacz, od wulgarności do pokory.

Sztuka opiera się na jednej postaci – Salierim. Janusz Łagodziński dostał szerokie pole do popisu i poważne zadanie do wykonania. Antonio to człowiek przegrany, który zdaje relację ze swojego upadku zarówno zawodowego, jak i moralnego. Kłębiam się w nim silne emocje: rezygnacja walczy z chęcią odwetu, wyrzuty sumienia próbują stłumić nienawiść. Niestety tego nie widać. Łagodziński buduje rolę na jednej nucie, z nieznacznymi odchyleniami. Gubi bardzo ważne dla Salieriego momenty, które determinowały decyzje bohatera, tworząc tym samym postać niepełną.

Artur Tyszkiewicz podjął się realizacji tekstu mówiącego o trudnej relacji człowieka z Bogiem, o zdradzie i o konsekwencjach nieograniczonej władzy. Jednak ten sens rozmywa się gdzieś pomiędzy niepotrzebnymi efektami specjalnymi, jaskrawymi kostiumami i głupimi krokami jak z Monty Pythona. ■

Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie
Amadeusz

Reżyseria: Artur Tyszkiewicz

Scenografia i kostiumy: Justyna Elminowska

Muzyka i opracowanie muzyczne:
Jacek Grudzień

Premiera: 25 czerwca 2016 roku

Ewa Jemioł – studentka filologii polskiej
KUL.

PAMIĘĆ I TANIEC

KORNELIA KURACH

W czerwcu w DDK „Węglin” odbyły się pokazy wieńczące całoroczne warsztaty teatralne i taneczne. Jeden ze spektakli zaprezentowała grupa seniorów z zajęć prowadzonych przez Teresę Filarską. Spektakl nosił tytuł *Pamięć*.

Oto obserwujemy niby zwyczajne spotkanie kilku starszych osób przy herbacie. Na środku stoi stół przykryty czerwonym obrusem, na nim świeca, pomarańcze i szklanki. Przy stole siedzą cztery kobiety i jeden mężczyzna, trochę dalej jeszcze jeden mężczyzna gra na gitarze. Po kilku minutach rozpoczynają rozmowę.

Wypowiedź mężczyzny stanowi krótka refleksja na temat pamięci, ulotnej, zmiennej, takiej, która przeplata wydarzenia błahie i ważne. Pamięć czasami szybko przywołuje całe obrazy, by innym razem ukazać jedynie fragmenty. Taki zresztą jest cały pokaz. Składają się nań krótkie wrywki dotyczące losów pojedynczych bohaterów oraz historii Polski. Słuchamy więc przyjemnych wspomnień o babcinym ogrodzie, pełnym pięknych kwiatów, o jabłkach, o słonecznych łąkach i spotkaniach w letnie wieczory. Później przywoływane są pochody pierwszomajowe, budowa obozu na Majdanku, strach związany z wojną i śmierć bliskich. Każdy krótki monolog wierszem czy prozą przeplatany jest piosenką, która łączy się tematycznie z wypowiedzianymi wcześniej frazami. Są fragmenty znanych utworów, książek i piosenek, ale także twórczość uczestników warsztatów. Na przykład słuchamy o wakacjach u babci, a za chwilę aktorzy zaśpiewają piosenkę *W moim ogródeczku rośnie lilija*. Przejścia pomiędzy tematami podkreśla gaszenie świecy, zapadająca na chwilę ciemność i ponowne

PRZED PAŃSTWEM PCHŁA SZACHRAJKA!

EWA JEMIOŁ



fot. Bartek Żurawski



fot. Bartek Żurawski

zapalenie świecy, rozpoczynające nowy wątek.

Prawdziwą perełką spektaklu była interpretacja *Lokomotywy* Juliana Tuwima. Wiersz przerobiony został na opowieść o etapie w życiu każdej kobiety – momencie, gdy zaczyna się starzeć. Dokuczają jej duszności, nie ma siły, czuje, że skóra wiotczeje, ale nadal stroi się, maluje, chodzi do fryzjera. Całość zbudowana na rytmicznym Tuwimowskim wierszu zaskakująco bawiła i powodowała, że starość została potraktowana lekko, żartobliwie.

Na koniec Mateusz Nowak przeczytał wiersz Wisławy Szymborskiej pt. *Trudne życie z pamięcią*, który bardzo dobrze podsumował pokaz. A na bis widownia jeszcze raz usłyszała odmieniony wiersz Tuwima.

Przedstawienie odbywało się w kameralnej atmosferze. Dobrze bawili się zarówno widzowie, jak i sami uczestnicy warsztatów. Według mnie taka publiczna prezentacja efektu warsztatów jest wielką wartością. ■

Dzielnicowy Dom Kultury „Węglin”
Pamięć

Reżyseria: Teresa Filarska
Pokaz: 18 czerwca 2016 roku

Kornelia Kurach – absolwentka filologii polskiej KUL.

Na niewielkiej scenie w jej centralnym miejscu pod ścianą stoi duży tekturowy sztyl przypominający starą gramofonową płytę. Kolorowy napis głosi: „Jan Brzechwa. Pchła Szachrajka”. Z lewej strony za fantazyjnie pomalowaną, niewysoką, półokrągłą papierową ścianą kryje się akompaniaturka. Chłopcy po prawej są zajęci zabawą. Dziewczynki siedzą na podłodze w kole, grają w łapki. Nagle jedna z nich wstaje i podchodzi do wielkiej książki leżącej na środku sceny. Tak zaczyna się opowieść o przygodach małej Szachrajki.

Trafiamy na przyjęcie, które Pchła urządziła „raz któregoś dnia, przy święcie”. Goście (dzieci we własnoręcznie malowanych maskach zwierząt) raczą się przysmakami rozszoszonymi przez uczone Karaluchy, dopóki Pchła nie oferuje dodatkowej rozrywki w postaci własnego wykonania dwóch arii. O ile utwór z *Toski* wzbudza powszechny podziw, o tyle pieśń z *Halki* zwala biesiadników z krzesel. Bynajmniej nie z zachwytu. Okazuje się, że wspaniały operowy głos Pchły pochodził z ukrytej „skrzynki-samograjki”.

Dzieci nie starają się na siłę zagrać swoich postaci, ale raczej bawią się przedstawianiem historii. Nawet nie próbują ignorować faktu, że ktoś je ogląda. Często spoglądają na widownię w poszukiwaniu znajomych twarzy, a także angażują widzów w akcję – w jednym z epizodów dziewczynki szepczą im na ucho plotki o Pchle.

Przedstawione sceny są dokładną ilustracją tekstu Brzechwy. Bardzo dobrym posunięciem, moim zdaniem, jest to, że każdy fragment czyta inna osoba. Wraz ze zmianą narratora następuje również podmiana

dziewczynki grającej Pchłę. Tym sposobem dzieci mogą spróbować się w głośnym czytaniu części narracyjnej oraz w odgrywaniu partii dialogowych. Nie każdy radzi sobie śpiewając, ale wszyscy bez wątplenia czują się dobrze, nakładając maski na przyjęcie u Szachrajki czy tańcząc na balu u Szerszenia. Mnie szczególnie podoba się wycieczka pociągiem – kilkoro dzieci siedzi na stołeczkach i rytmicznie uderza w bębni, wybijając rytm stukotu metalowych kół. Jednocześnie pozostali naśladują gwizd lokomotywy, a narrator czyta odpowiedni fragment.

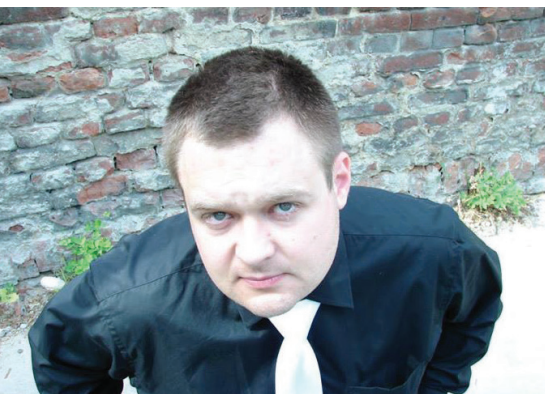
Spektakl przygotowany w ramach projektu „Domowa Edukacja Teatralna” i wystawiony w Dedeku na koniec sezonu był miłą odmianą po profesjonalnym teatrze, na który do tej pory chodziłam. Czułam powiew świeżości i autentyczności, których na scenie można spodziewać się właściwie tylko od dzieci. Szłam na wydarzenie z pewną obawą. Nigdy wcześniej nie uczestniczyłam w czymś podobnym. Tymczasem zostałam zaproszona do wspólnej zabawy i, ku własnemu zaskoczeniu, bawiłam się świetnie. Szkoda, że ta bajka trwała tak krótko. ■

Dzielnicowy Dom Kultury „Węglin”
Pchła Szachrajka

Przygotowanie: Urszula Kokoszka,
Magdalena Pasierbowicz
Pokaz: 15 czerwca 2016 roku

ALLELUJA I DO PRZODU

PRZEMYSŁAW GAŚSIOROWICZ



fol. Patrycja Radkowiak

ZNÓW O REAKCJACH

Wracam do reakcji widowni w teatrze, bo to temat co najmniej na pracę magisterską. Podsuwam więc pomysł przyszłym teatrologom. Uważam, że złe rozumienie dobrego zachowania w teatrze wyrządziło szkodę pokoleniom widzów i artystów. Wielu bywalców sal teatralnych boi się zachowywać nieco bardziej naturalnie. Może nie chodzi tu o zachowania jak na koncercie rockowym, ale... odrobinę w tym kierunku. Artyści na scenie naprawdę łakną aplauzu, gorących oklasków, śmiechu bądź też wzruszenia. To jest ich nagroda za wysiłek włożony w pracę nad spektaklem. Kochani odbiorcy, nie skąpcie im tego!

Kiedyś miałem okazję pracować z adeptami sztuki aktorskiej. Wyreżyserowałem z nimi *Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej. Na pokazie premierowym było jakieś dwieście osób i nie były to wyłącznie rodziny i znajomi aktorów. Podobało się – ludzie dobrze się bawili. I o to nam chodziło. Usiadłem sobie w siódmym rzędzie i... też dobrze się bawiłem – a co! A że z racji zawodu mam dość donośny głos, to wyszło na to, że śmiałem się najgłośniej. Nie, żeby podbijać bębenek, tylko jakoś tak samo wyszło. Przede mną siedział jakiś jegomość z małżonką, oboje w wieku 60+, i raz po raz odwracał się w moją stronę znieśmaczony. No bo jak ja śmiałem śmiać się głośno na żywiołowo granej komedii, która była śmieszna! W końcu pan zwrócił mi uwagę, żebym „zachowywał się w teatrze”.

Taką sytuację miał niedawno reżyser teatralny i aktor Mikołaj Grabowski. Oglądając wyreżyserowanego przez siebie w lubelskim Teatrze Osterwy *Pana Tadeusza*, też śmiał się najgłośniej z całej widowni. I też ściągał na siebie oburzone spojrzenia pań nauczycielek wyrażające niesmak: „Co za nieokrzesany cham! Nie umie zachować się w teatrze!”. Taaak, facet, który na teatrze zjadł zęby i który spędził w nim czterdzieści lat swojego życia...

Pozytywnie zaskoczyła mnie natomiast postawa pani nauczycielki, która przyprowadziła do naszego teatru grupę gimna-

zjalistów na spektakl pt. *Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł*. Już sam fakt przeprowadzenia młodzieży na tak kontrowersyjny i pełen brzydkich słów spektakl, w dodatku wieczorem, czyli po godzinach lekcyjnych, był zaskoczeniem. Ale ta pani tuż przed spektaklem powiedziała do uczniów: „Reagujcie jak chcecie – mnie tu nie ma”. Po czym zasiadła i bawiła się najlepiej z całej grupy. Młodzież raczej słuchała w skupieniu, niż się bawiła, bo wielu kontekstów z racji młodego wieku nie byli w stanie rozczytać. Ale sama postawa pani nauczycielki była wzorcowa. Zrobiła naprawdę dobrą robotę. W ten sposób – przyzwalając uczniom na swobodę zachowania – zachęciła ich do takiej rozrywki, zaszczepiła w nich teatr. Bo przecież teatr nie powinien kojarzyć się z ordnugiem i sztywnością! ■

Przemysław Gaśsiorowicz – absolwent Wydziału Aktorskiego PWST w Krakowie, od 2007 roku w zespole Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie.

A KTO UMARŁ – TEN NIE ŻYJE

Pewien krewki aktor prawie rok temu nazwał Łódź miastem meneli. Ten sam aktor sporo wcześniej nazwany został przez reżysera na planie pewnego filmu gwiazdorem albańskim. A stało się tak, ponieważ raz pewnego nie był zdolny do nagrywania scen, za to doskonale nadawał się do płukania żołądka. Aktor jeździł podówczas czarnym jaguarem z nieodłącznym pistoletem, odziewał się w indiańskie skórzane kurtki z frędzlami nonszalancko zwisającymi u rękawów, malowniczo przeżywając renesans swojej popularności.

Definicja słowa „menel” za słownikiem slangu miejskiego, poza odpowiednikami typu „chlor” i „luj”, oznacza kogoś brudnego, śmierdzącego, odstręczającego swoim wyglądem. Zatem rzeczonego dnia na planie zdjęciowym aktor, ozdobiwszy swoim wnętrzem podłogi szpitala Matki Polki, wpisał się w tę definicję dość precyzyjnie.

Naprawdę zabawna i zastanawiająca jednak okazała się fraza dissu, który



fol. archiwum autora

PASZTET Z KRYTYKA

ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI

mieszkańcy Łodzi ułożyli z okazji otrzymanego od owego aktora epitetu:

„Oj, Boguś, Boguś, by cię diabli wzięli, Za chlebem cię przygnało do miasta meneli”.

I tu trafia się kosmiczny wręcz paradoks niemalże Fermiego – skoro Łódź to pustynia kulturalna, to jakim cudem kręci się tam nadal filmy? Pewien oskarżony polski reżyser stwierdził zresztą, że przenoszenie wielkich atelier filmowych do stolic to powszechne dzisiaj zjawisko w Europie.

Czy w Łodzi istotnie zostali sami meneli? Czy to miasto jest wymarłe? Wystarczy wejść na stronę lodzjestkultura.pl, żeby dowiedzieć się, że tętni nią nie tylko przy okazji nieudanych starań o tytuł ESK i obchodów 593. urodzin miasta. Centrum co-workingowe, EC1, Narodowe Centrum Kultury Filmowej, Manufaktura czy UNIQA Art Łódź – to tylko niektóre ze zjawisk miasta z najdłuższym deptakiem w kraju.

W Polsce niezwykle trendy stało się opuszczanie własnych miast na rzecz stolic i wielkich aglomeracji europejskich. Każdy Wiesiek, który choć pół roku spędził w Dublinie czy Madrycie, po powrocie do swojego miasteczka uważa się za Europejczyka, a miejsce, z którego się wywodzi, jawi mu się jako Ciemnogród z wąsatymi Januszami, do których on już przecież nie należy. Tak jakby przekraczając rogatki obcej metropolii, miał osobisty udział w twórczości Gaudiego czy Hundertwassera.

Dobrze jest jeździć po świecie i mieć o nim coś do powiedzenia. Podróżujący dzielą się na globtroterów, turystów i gości hotelowych. Tym ostatnim proponuję częściej zmieniać kanały w telewizorze. Środkowym zaś częstsze milczenie, a u pierwszych nie zmieniałbym niczego, ponieważ nie wypowiadają się o miejscach, w których bywali jedynie przejeżdżając. ■

Łukasz Witt-Michałowski – reżyser teatralny, założyciel i dyrektor lubelskiej Sceny Prapremier InVitro.